ROZMAITOŚCI.

Dnia 30. Stycznia. № 5. Roku 1856.

RIK — TIK — TAK.

(Powieść z życia flamandzkiego.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 1. 2. 3. 4. Rozmaitości.)

V.

Działo to się pewnego poranku o wschodzie słońca; już widokrąg rozjaśniał się, a noc ulatywała ku zachodowi; tysiące niewysłowionych głosów zapowiadało budzenie się przyrody. W izbie samotnego futoru zégar wybijał swe jednostajne tętno; nic niezakłócało jeszcze posępnego milczenia nocy, ognisko było zimne.

W kącie izby, napół osłoniętym pomroką. stał kołowrotek; kądziel była jeszcze nawita lnem pięknie uczesanym z nitką nietkniętą prawie, jak gdyby prządka dopiéro co odeszła.

O dwa lub trzy kroki od kądzieli, jakaś postać ludzka rysowała się na ciemném tle izby: był to młody człowiek, który siedząc nieruchomie spoglądał na to narzędzie z szczególniejszym wyrazem. Ręce skrzyżowane na piersiach, głowa pochylona, przesuwał wzrok kolejno z kądzieli na pobliskie krzesło. Na twarzy jego malował się głęboki smutek. oczy szkliły się posępnym blaskiem, jak gdyby rozpacz zamieszkała w jego sercu; a jednak chwilami zakradał się przelotny uśmiech na jego usta. Widząc go w takim stanie, można było sądzić, że jakaś niewidoma prządka siedzi u kądzieli, i że młodzian oczarowany jéj widokiem, prowadzi z nią oczyma najczulszą rozmowę. Jakieś słodkie dźwięki, a tak ciche, że niezdolne nawet zakłócić milczenia nocy, rozlegają się po komnacie. Młodzian kładnie palec na usta i zdaje się nadsłuchiwać, chociaż sam śpiewa niewiedząc o tém:

Rik — tik — tak
Rik — tik — tu!
Dalej do młota,
Kujmy co tchu!
Niech stal czerwona
Iskrami miota,
Kto ją pokona
Ten godzien snu!
Rik — tik — tak
Rik — tik — tu!

Po chwili wstaje, bierze do rąk kij pasterki i wychodzi powolnym krokiem z izby. Zadumany zwraca swe kroki ku

olszynie; staje, urywa jakiś kwiatek, spogląda nań z uśmiechem, obrywa listki i z roztargnieniem opuszcza je na ziemię. Przybywa do końca ścieżki, spogląda żałośnie na piaszczyste wzgórza, które wznoszą się ponad stepem; oczy jego napełniają się łzami: usiada i płacze rzewnie. Po chwili powstaje znowu, idzie daléj jeszcze aż do olbrzymiego dębu, w którego sąsiedztwie znajduje się kilka krzaków jałowcu. Tu pozostaje przez kilka chwil zapominając o sobie samym, nadsłuchuje, jak gdyby jakiś głos tajemniczy, wychodzący z drzewa, przemawiał do niego; słodkie dźwięki biją z jego serca do ust; pod cieniem jałowców odzywa się piosnka:

Rik — tik — tak,
Rik — tik — tu!
Daléj do młota,
Kujmy co tchu!
Niech stal czerwona
Iskrami miota,
Kto ją pokona,
Ten godzien snu!
Rik — tik — tak
Rik — tik — tu!

I to dumanie się kończy. Młodzian zamyślony cały, opuszcza dąb i zwraca się ku stepowi. Wstępuje na piaszczysty pagórek; stanąwszy na szczycie zatyka w piasek swój kij pasterski, opiéra na nim obie ręce i stoi nieruchomy jak posąg. Oko jego zwrócone ku sinemu punktowi na krańcu widokręgu, zkąd wychodzi droga wązka, która wijąc się po stepie w dziwacznych zakrętach, gubi się w pobliżu tego pagórka.

Czegoż to może oczekiwać w tém miejscu ów zasępiony młodzian? Czyjego przybycia wygląda na téj ścieżce stepowéj? Dla kogo przeznaczone są te westchnienia boleśne i przytłumione, które wyrywają się z jego piersi? Słuchajcie: on sam odpowiada, gdyż westchnienia jego zmieniają się w słowo, w imię własne, wymawiane z miłością i żalem:— Leno!.... Moniko!....

Po za nim jakaś młoda wieśniaczka wdrapuje się na pagórek, która zbliżywszy się do niego mówi cierpkim tonem:

— „Janie, już czas powrócić do domu!“

Młodzian zadrzał, obraca się i spogląda z wyrzutem na dziéwczynę, że zakłóciła jego marzenia. Wnet jednak przybiera twarz jego wyraz spokojnéj obojętności, i młodzian schodzi z pagórka mówiąc:

— „Idę już siostro!“

I gdy tak idzie za nią z pochyloną głową, dziéwczyna przemawia do niego w te słowa:

— „Piękne życie prowadzisz z twojemi dziwactwy. Ty myślisz zapewne, że marzeniem zarabia się na chleb! Od trzech miesięcy już napadło cię jakieś szaleństwo, jak ową próżniaczkę Lenę, co odjechała z swym ojcem, jak powiadają! Możesz się pochlubić, że naśladujesz doskonale jéj głupotę. Próżnujesz tylko po całych dniach i włóczysz się po stepie marząc o niebieskich migdałach.... Na twojém miejscu wstydziłabym się, zaprawdę! Matka nasza leży chora, a ty niespytasz się nawet, czy żyje jeszcze. Jeźli tak potrwa dłużéj, zmarnieje całe

gospodarstwo, my pójdziemy z torbami, a ty zakończysz nędzne życie w domu szalonych.“

Jan nie odpowiadał ani słowa na te wyrzuty, i zdawał się nawet ich niesłuchać. Pozwalał mówić swéj siostrze nieznażając wcale na jéj słowa, i szedł za nią z widoczną obojętnością aż do futoru.

VI.

W kilka dni potém marzył Jan znowu pod dębem spoglądając na świeże jeszcze znaki wyryte niedawno w korze drzewa. Biedny młodzian wyglądał schorzały i zwiędły; blada, sina cera zastąpiła na jego twarzy rumieniec młodości; oczy szklniły się posępnym blaskiem jak u szalonego, a głowa pochylała się bezwładnie na lewe ramię.

Gdy siedział tak z pół godziny nieruchomie, usłyszał pośród olszyny szelest suchych liści potrącanych stopą ludzką; zwrócił więc oczy w tę stronę i wnet ujźrzał sędziwego plebana z Desschel, który zbliżał się do niego. Młodzian natężał się widocznie, by nadać swym rysom wyraz zwyczajny i obojętny; powitał plebana przymuszając się do uśmiechu, ale niestety! uśmiech ten zdradzał tylko cierpienie i nieukojoną boleść.

Pleban dał mu znak, by usiadł na murawie, wziął go za rękę i przypatrując mu się z wyrazem głębokiego politowania, rzekł poważnym tonem:

— „Janie, tak to dotrzymujesz twéj obietnicy? Zawsze jeszcze pod dębem! Czyż chcesz, żeby matka dopełniła swéj groźby i kazała ściąć drzewo, by cię uleczyć?“

Na te słowa zadrzał młodzieniec konwulsyjnie, i utkwiwszy w plebana wzrok iskrzący, zawołał:

— „Co! ściąć drzewo... ściąć dąb? O! nie, nie, mój ojcze, jabym zabił rębaczy!“

To uniesienie zdziwiło zacnego plebana, który częstokroć starał się mądremi radami wybić Janowi z pamięci przedmiot jego smutku, i sądził, że w części już tego dokonał. Odrzekł więc bez gniewu i tonem zupełnie ojcowskim:

— „Janie, mój synu, to grzech tak mówić. Matka twoja powiedziała to w żarcie, i ty wiesz dobrze, że słowa jéj nie są ewanielią; ale że ty, który masz serce i rozum, niewzdrygasz się dla rzeczy tak marnych, dla niedorzecznego urojenia, aż śmiercią się odgrażać, tego ja niepojmuję; i to mię wielce martwi. Czyż zasłużyłem na taką odpowiedź?“

— „O, przebacz mi, mój ojcze!“ — rzekł młodzieniec z wyrazem najszczerszego żalu. — „Ja wiem, że życzysz mi to tylko, coby dla mnie było dobre i zbawienne; ale w mojém sercu jest coś niepojętego, co ma większą władzę nade mną, niż twoje słowo i moja wola.“

— „Janie, stoi napisano: „Kto mieczem wojuje od miecza ginie“; tak samo ma się rzecz z tobą, mój przyjacielu. Gdybyś nieszukał przyjemności w marzeniach, które niszczą twe ciało dla braku ruchu, gdybyś pracował w polu, jak tego wymaga twój obowiązek, zapomniałbyś wkrótce o przyczynie twego

smutku; odzyskałbyś zdrowie i odwagę, i byłbyś w stanie pracować dla twéj choréj matki. Ale przeciwnie, ty przepędzasz całe dnie pod tém drzewem lub na wzgórzu, i nietylko popełniasz ciężki grzéch niewypełniając swych powinności względem Boga i matki, ale nadto jesteś śmiesznym szaleńcem, który pragnie rzeczy niepodobnéj i marnuje życie dla czczych urojeń.“

— „O mój ojcze, po jéj odjeździe byłem jeszcze długo czynny i pracowity, — nieprzychodziłem tu tylko przed i po godzinach pracy, i miałem nadzieję, że będę mógł zapomnąć; — ale niestety! jéj obraz towarzyszy mi wszędzie. Przy pługu ona mi szepcze moje imię do ucha; w stodole wybijają cepy jéj ulubioną piosnkę *Rik — tik — tak;* w śpiewie ptaków słyszę jéj śpiew; wszystkie stworzenia, wszystkie głosy natury wołają: Monika! Monika! Na cóż przydała mi się praca? Czyż wiedziałem co robię? O! nic! mój ojcze, to mi nic niepomogło. Jeden sen tylko utrzymywał mię przy życiu; w nim znachodziłem pociechę, widziałem ją, rozmawiałem z nią; ale spoczynku niemogłem znaleść nigdy. Teraz niemogę już pracować, chociaż radbym nawet: jestem osłabiony i chory.“

Pleban potrząsał głową i milczał przez chwilę, wreszcie wziął go znów za rękę i rzekł:

— „A zatém, Janie, pytam cię raz jeszcze, czy chcesz czy niechcesz pozostać w tym stanie, w którym się znajdujesz? To pewno, i ty wiesz to dobrze, że Monika nigdy już tu niewróci; a gdyby i wróciła nawet, to byłoby tém gorzéj jeszcze: ona zamożna panna teraz, a ty syn kmiecy. Twoja słabość więc to ostatnie szaleństwo.“

— „Ach! czyż moja w tém wina, ojcze, że niemogę jéj zapomnąć?“

— „A radbyś zapomnąć?“

— „Pragnę tego z całego serca, mój ojcze; gdyż od dawna już są moje marzenia gorzkie i bolesne. Rozpacz owłada mą duszę.“

— „Dobrze więc! pokaż, że masz istotnie odwagę i chcesz się uleczyć. Uczyń zadość życzeniu twéj matki; posłuchaj méj rady: idź do seminaryum w Malines!“

— „Jabym umarł tam, ojcze.“

— „Dlaczego?“

— „Ach! dlaczego? Mój ojcze, kilka miesięcy temu chodziłem do Brukseli, i musiałem tam ośm dni zabawić. Ileż nieucierpiałem wtedy!“

— „Niepojmuję dlaczego.“

— „Zaraz ci to powiem, ojcze. Gdy mi już wolno było powrócić, szedłem dzień i noc bez odpoczynku. Gdy po raz piérwszy zawiał mię wiatr od stepu, doznałem takiego wzruszenia, żem zaczął płakać jak dziécię; nieco daléj, w piérwszym lasku jodłowym padłem na kolana i dziękowałem głośno Panu Bogu, że mi dozwolił zobaczyć znowu moje ulubione jodły. Jadłem jagody z piérwszego jałowca, który ujźrzałem; przyciskałem do mego serca tę drogą roślinę, — a przybywszy tu nieposzedłem wprost do domu, pośpieszyłem najpiérw uściskać dąb, mego przyjaciela, i ze

łzami w oczach przemawiałem do jałowców jak do ludzi.... A ty mi radzisz, ojcze, przepędzić sześć lat zdala od stepu!... To niepodobna!“

— „Mój synu, wiem ja dlaczego ty bardziéj niż kto inny kochasz się w stepie; ale to jest właśnie przyczyna, którą wytępić musimy. Prędzéj niż praca fizyczna wyprze nauka z twéj duszy obraz, który cię prześladuje, a przekonanie, żeś przeznaczony poświęcić się zupełnie służbie bożéj, odniesie niezawodnie zwycięztwo nad marzeniami świata.“

Słowa te wymówione głosem uroczystym i napół gniewnym, sprawiły głębokie wrażenie na młodzieńcu.

— „Są jeszcze i inne powody“, — mówił daléj pleban — „które powinny naprowadzić cię na lepszą drogę. Janie, ty zabijasz sam siebie, bo niszczysz twoje zdrowie oddając się ciągłemu smutkowi. Czy myślisz, że Bóg przebaczy ci to karygodne szaleństwo, jeźli wytrwasz w niém aż do śmierci? Ty w nieszczęsném twém obłąkaniu myślisz tylko o jednéj rzeczy. — Czyż obudza się w twéj duszy kiedykolwiek myśl wznioślejsza i czysta o niebie i Bogu? Czy szczere są te modły, które szepczą twe usta, gdy myśl tymczasem obraża Stwórcę i uwielbia nędzne stworzenie, nawet w świątyni jego? Zastanówże się chłopcze; bo grób otwiéra się przed tobą, dusza twoja oddaje się w moc czarta i ogień wieczny czeka cię w nagrodę za szalone twe zapomnienie o Bogu!“

Słowa plebana wyrzeczone z smutném przekonaniem, wzruszyły głęboko młodzieńca. Czuł on to dobrze, że pleban mówił mu straszliwą prawdę i drżał jeszcze przed okropną jego wróżbą. Przez kilka minut stał w milczeniu z oczyma spuszczonemi ku ziemi; w końcu zaś podniósł głowę z wyrazem, z którego można było poznać, że zrobił mozolne postanowienie i rzekł:

— „Dobrze! mój ojcze; niech się stanie! pójdę do Malines.“

— „Jutro?“ — spytał pleban z radością.

— „Jutro już?“ — odrzekł młodzieniec — „jutro pożegnać mój step! i może nazawsze!“

— „Janie, niebądźże ty dzieckiem!“ — odrzekł pleban. — „Przecież co roku będziesz kilka razy odwiedzał twą matkę, a podczas wakacyi możesz się do woli nacieszyć swoim stepem. A wreszcie, jak zostaniesz księdzem, możesz być umieszczony w któréj z wsi sąsiednich i będziesz wiódł życie ciche i spokojne pod niebem stepowém..... A więc jutro, nieprawdaż?“

— „Dobrze! niech będzie jutro!“ — zawołał młodzian głosem tak rozdzierającym, że się rozległ aż po za olszyną. — „Jutro, jutro!“

I zakrył obiema rękoma oczy, z których łzy polały się strumieniem.

W półgodziny potém powracał ręka w rękę z plebanem do futoru.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PAPROĆ.

I.

Zaszło nad lasem słońce czerwcowe,
Do snu w królewskiéj zaszło purpurze
Na pogodnego nieba lazurze
Świecą z północy zorze różowe,
Migocą gwiazdki; a ponad siołem
Księżyc srebrzystym wzbija się kołem.

I tajemnicze nocy milczenie
Zaległo pola, łąki i gaje;
Ziemia się niby zasypiać zdaje,
Niby w rozkoszne tonie marzenie;
Tylko jéj do snu brzęczą komary
I z ciepłym wiatrem dąb szumi stary.

Nagle w milczącéj ciszy wieczoru
Rozległ się brzmiący okrzyk wesela.
Uśpione echa budzą się w boru,
Ognista łuna ku niebu strzela;
I w cieniach nocy czerwono błyska
Jasny choć drżący płomień ogniska.

Noc świętojańska! sobótkę palą!
Ogień ze wzgórza wysoko bucha,
Wietrzyk zachodni z lasu nań dmucha;
Dym się białawą rozpływa falą,
A młódź ochocza tańczy wokoło
Jak nocnych duchów zaklęte koło.

Tańczą — ognisko w łańcuch zamknęli.
Silnym uściskiem związali ręce.
Dziewki w świątecznych szat swoich bieli,
Na złotych kosach zielone wieńce.
I woń się jakaś rozchodzi dzika,
Wonieje ruta i betonika.

Tańczą, lecz płomień blednie pomału:
Trzeba nań smolne rzucić łuczywo.
Tańczą — lecz koło krąży leniwo,
Gaśnie gorąca iskra zapału;
Czas ją podsycić dopóki gore,
Chodź tu lirniku! zjawiasz się w porę!....

Chodź tu lirniku, zanuć piosenkę:
Czego tam stoisz gdzieś na uboczy?
Czego ci łzami zachodzą oczy,
Gdy do strun drżącą przyłożysz rękę?
Śpiewaj lirniku! my cię uraczym
Złocistym miodem, białym kołaczem.
Śpiewaj lirniku! — Pod dębu cieniem
Stał wieszcz wędrowny smutny i blady:
Włos mu złocistym wił się pierścieniem,
Na czole dumań głębokie ślady;
Lecz blask, co w jasném oku się żarzy,
Ogniem natchnienia błyskał mu z twarzy

— „Chodź tu lirniku! — zgraja nań woła,
Dziewki pląsając klaskają w ręce —
Chodź tu lirniku, prosim do koła,
Raźniéj nam będzie przy twéj piosence.
Wreszcie tak każe obyczaj stary,
Pieśnią się nocne odpędza mary.“

Lirnik po tłumie powiódł oczyma,
Włos swój złocisty odgarnął z czoła;
Na drżących strunach palce już trzyma,
Lecz struny milczą choć rzesza woła:
— Spiesz się! zaczynaj, teraz noc krótka,
A o świtaniu gaśnie sobótka!

Lecz lirnik stoi, nie odpowiada:
Co mu się stało? czego on zwleka?
Czy treść piosenki w myślach układa,
Czy może z niebios natchnienia czeka?
W tém jak za wyższym jakim rozkazem
We wszystkie struny uderzył razem;

A strun tych dźwięki czarowną zgodą
W cudną się jakąś melodyą zlały:
Rzekłbyś, gdzieś w gaju nad cichą wodą
Boginki chórem pieśń zaśpiewały.

— „Przegrywka — szepcze tłum u ogniska —
Czekajmy chwilę, bo pieśń już blizka!“
Czekają — dźwięki płyną z wiatrami,
I gdzieś się gubią w głuszach dąbrowy.
Dziéwczętom oczy zachodzą łzami.
A starcy siwe schylają głowy.

Nuta tych dźwięków dobrze im znana,
W pięknych młodości dniach zasłyszana!...
Ale po chwili szept krąży w tłumie:
— Jakie to dziwne i nudne dźwięki?
Co mi za lirnik? on grać nie umie!

Lirniku! innéj chcemy piosenki!
Ta nam na sercu ciąży niemiło;
Przy niejby tańczyć nie można było!....
Innéj piosenki!.... — Lice lirnika
Mieni się nagle, pobladł jak chusta;
Bolesną skargą drgnęły mu usta,
Aż w oczach iskra mignęła dzika.

Wystąpił naprzód dumny i hardy,
Objął tłum zimném okiem pogardy,
I z gorączkową jakąś rozpaczą
Drgające palce puścił na struny.

Struny syknęły — zgrzytają, płaczą,
Zdaje się z niebios ściągną pioruny.
Bledną od trwogi dziewki lękliwe;
W tém struny pękły, jęcząc jak żywe!...

Wieszcz niemą lirę na ogień rzucił,
Poszedł. Dreszcz grozy wstrząsł całą zgrają;
— „Wróć się lirniku! wróć się! wołają.“ —
On spojźrzał smutnie, ale nie wrócił:
Cisza go lasów nęci ku sobie,
Jako piastunka dziecko w chorobie.

II.

Szumi dąbrowa z wiatrów powiewem,
Szemrają listki jak dzieci we śnie;
Na mech wilgotny pod starém drzewem
Padł biedny lirnik łkając boleśnie.

— „O liro moja! o liro złota!
Co ja bez ciebie pocznę sierota?
Kiedy mię dola przyciśnie sroga,
Kiedy mię życie znęka tułacze:
Jak ja tęsknotę z piersi wypłaczę,
Jak ja się będę modlić do Boga?
O liro moja!“ — Zapłakał rzewnie,
I w drżących dłoniach mokrą twarz kryje.
Och! serce w piersi pęknie mu pewnie,
I lirnik, liry swéj nie przeżyje....

Płakał, aż wreszcie jak małe dziécię,
Co z wolna z płaczu w cichy sen wpadnie,
Czuł, że mu głowa cięży bezwładnie
I jakoś niemoc powieki gniecie.
Więc zamknął oczy i złotą głową
Wsparł się o twardą gałąź dębową.

Wtedy łagodny powiew wietrzyka
Szmer mu jakowyś przywiał do ucha,
Niby podziemna *Elfów* muzyka,
Melodya tęskna, tłumiona, głucha.

Zerwał się — patrzy: w głębinie boru,
W drżących promieniach światła nocnego
Owiany biało mgłami wieczoru,
Stał drugi lirnik, rzekłbyś brat jego:
Takie jak na nim ubogie szaty.
Tak jak on smutny, tak jak on blady;
Na piersiach takie zwiędłe miał kwiaty,
Nawet na licu świeżych łez ślady;
Tylko że lirę przy sercu trzyma,
Ale niestety! strun na niéj nie ma....

Zadrżał wieszcz biedny, nie wié dlaczego
Na serce dziwna trwoga mu padła:
Może to tylko własny cień jego
Stoi odbity od mgły zwierciadła?
Lub który z biednéj, wędrownéj braci
Takiegoż lica, włosa, postaci?
Może?.... Wiatr chłodem ostrzejszym wionął,
Znać już północy przyszła godzina;
Pochylił głowę, w myślach utonął,
A tamten drugi śpiewać zaczyna.

III.

Bracie lirniku! czego tam stoisz
Blady i drżący, z schyloną głową?
Czego tę starą puszczę dębową
Niewieścią żalu łzą niepokoisz?
Gdzie twoja lira? czemu jéj nie ma?
Biada, kto z próżną przychodzi dłonią!
Co ty odpowiész, gdy jak Kaima,
Pan Bóg cię z niebios zapyta o nią?

Biada ci! biada...! Bóg na twém czole
Złożył znak, nie wiem kary czy łaski;
A ty chcesz bożą zniweczyć wolę,
Ducha świętego przygasić blaski!
Próżno: ty musisz iść twoją drogą,
Bo ci nie wolno innéj wybierać,
Choćby długiego męczeństwa trwogą
Serce ci miało w piersiach zamierać.

Musisz — niech usta żółcią napoją,
Kamieniem wzgardy uderzą w łono,
Niech ci brzemienia ciężar podwoją:
Musisz iść naprzód — tak osądzono.....

Pod rózgą losów, szyderstwem świata
Nigdy zwątpienia nie puścić w serce;
Nawet odstępcę, nawet bluźniercę
Kochać gorącą miłością brata.

I w téj najświętszéj miłości bratniéj
Piersi otworzyć jak ów ptak puszczy,
Byś do krwi twojéj kropli ostatniéj
Koił pragnienie łaknącéj tłuszczy.

A jeźli sił ci braknie, jeżeli
W gorzkich zawodów bolesnéj męce,
Zapragniesz na dół opuścić ręce,
A pierś się skargą jęknąć ośmieli;
Biada nieszczęsny! stokroć ci biada!
Kto z wolą bożą igrać się kusi,
Kto na pół drogi bezsilny pada:
Długą pokutę przecierpieć musi.

Słuchaj!.... na waszym świecie, przed laty
Żył lirnik, Bóg go wieszczem namazał,
W serce skarb uczuć złożył bogaty,
I z braćmi skarbem dzielić się kazał.

Kazał mu brzmiącą lirę nastroić,
I iść za głosem świętego ducha;
Tysiąc rozpierzchłych ogniw łańcucha
Żarem gorącéj miłości spoić.

On, syn Adama! on zlepek ziemi!
Z wagą ciężaru sił swych nie zmierzył:
Wziął wieszczą lirę, w struny uderzył,
Struny zabrzmiały dźwięki cudnemi....

I tłum się cisnął sypiąc oklaski,
Jak kuglarzowi chłopięta wioski;
Aż mu zgłuszyli w sercu głos boski
I ziemskiéj sławy zwiodły go blaski.

Zachciał wawrzynów, a świat szyderca
Rzucił mu palmę z cierni i głogu;
Podniósł — pierś kolcem przebódł do serca,
I upadł jęcząc i bluźnił Bogu....

W gorzkiéj boleści bezbożnym szale
Klątwą rozpaczy na tłumy zionął;
Struny swéj liry stargał zuchwale
I w samolubnym żalu utonął.

Tylko gdy z nędznéj piersi lirnika
Duch się za pieśnią nazbyt wyrywał,
W pustyniach, jako ptaszyna dzika
Wśród głuszy lasów sam sobie śpiewał.

Aż raz wśród cichéj czerwcowéj nocy,
Gdy, (jako każe obyczaj stary)
Lud palił ognie, i o północy
Bogom pobożne święcił ofiary;
On zasłyszawszy pienia ofiarne
Zapłakał gorzko: wziął lirę złotą,
Tę lirę wieszczą, dziś cacko marne,
I uciekł w lasy gnany zgryzotą.

I jak ogniki nocą widziane,
Znikł — nie zostawił śladu po sobie,
Tylko wśród lasów na świeżym grobie
Wyrosła paproć, ziele nieznane!

Paproć, roślina smutna i dzika,
W nocy zaklętym kwitnąca kwiatem;
Paproć, to biedna dusza lirnika
Upadła w ciężkiéj walce ze światem!...

Ty drzysz?... przeczucie jakieś złowieszcze
Serce ci ściska grozą téj doli:
Wróć się nieszczęsny, póki czas jeszcze,
Wróć się! daj Bożéj spełnić się woli.

Wróć się! odszukaj liry w popiele
Nawiąż trzy struny i po kolei
Pieśnią miłości, wiary, nadziei
Zadźwięcz jak kapłan w bożym kościele!

Niech pieśń ta będzie błogosławieństwem
Tym, co pracują w znoju i pocie;
Niech będzie siłą, niech będzie męztwem
Tym, co w Ogrójcu i na Golgocie.

Niech, jako mały skowronek sioła
Lud do pacierza i pracy budzi;
Niech jako straszna trąba anioła
O sądzie Pańskim woła do ludzi.

Aż kiedy biedne to serce twoje,
Co dziś jak dziécię szlocha pod razem,
Wiara i miłość złączona razem
W taką hartowną ukrzepią zbroje:
Że w téj miłości, w téj żywéj wierze,
Ciernie na wieńce spleciesz z wawrzynem,
I kapłan, sam się wydasz w ofierze,
By słowo twoje stało się czynem.

Wtedy o wieszczu! przyjdź tu raz wtóry,
Przyjdź tajemniczą północy dobą,
A kwiat paproci, jak gwiazda z chmury
Tysiącem iskier błyśnie przed tobą.

A gdy go zerwiesz, gdy go posiędziesz,
Wróci do nieba dusza zaklęta;
A ty lirniku silniejszym będziesz
Niż Samson twarde kruszący pęta.

Na dźwięk twéj pieśni mocą nieznaną
Wstrząsną się trumny, groby otworzą,
Z łoża niemocy Łazarze wstaną
I ciemni przejźrzą światłością bożą.

Bo kiedy święty ogień, natchnienie,
Zstąpi do czystéj serca świątyni,
Kiedy podsyci go poświęcenie:
Prorok powstaje i cuda czyni!...

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.**

Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.